



Merylanka

Janusz „Krawiec” Wiśniewski

Janusz „Krawiec” Wiśniewski

MERYLANKA

[Wydawnictwo Estymator](#)

Warszawa 2021

ISBN: 978-83-67021-01-2

Copyright © Janusz „Krawiec” Wiśniewski

Projekt okładki: Marcin Labus

I znowu dostaniesz po uszach za to, w jaki sposób kogoś opisałeś! Znam w Gdańsku cukiernię, której historię przedstawiłeś z taką drastyczną realnością... – to mój przyjaciel po przeczytaniu maszynopisu „Merylanki”.

Tak, być może, że coś tam o jakiejś tam gdańskiej cukierni kiedyś, kiedyś – jeszcze zapewne za czasów komuny mogło mi wpaść do uszu i mogłem gdzieś z zakamarów pamięci coś tam wyszperać. W tamtych odległych czasach i ja, jeszcze młodzian nie wiedzący co począć z wolnym czasem, nierzadko przebywałem w zatłoczonych barach i pijalniach piwa, gdzie przeróżne historie i opowieści przelewały się z pijackich gęb – niczym z kufli spienione piwo.

Najprawdopodobniej „Merylanki” nie byłoby, gdyby nie przyjaźń z Janem, mistrzem cukiernictwa, właścicielem gdyńskich „Delicji”. To tam, u niego, na zapleczu, upajałem się po wielokroć zapachem, smakiem, i klimatem pracy w cukierni. – A czy cukierniczą opowiadankę opisałem dość sprawnie, i na tyle ciekawie, że zechcecie przeczytać i przyjąć „Merylankę” życzliwie? – Odpowiedcie sami – najpierw kosztując tego „ciastka”.

* * *

Jeszcze tylko parę ulic krzyżowało się, zbiegało, tworząc krańcową część miasta, przechodzącą w jego wylot. Potem było przedmieście – ciągle szaro-bure, zaniedbane, z obdrapanymi zabudowaniami, bez jakiegokolwiek architektonicznej koncepcji. Brukowa, od lat nieremontowana jezdnia wyboista, pełna dziur, kałuż po deszczu smętnie żegnała, lub witała wjeżdżających do Gdańska. Bywało, że jadący nią kierowcy, zatrzymywali swoje auta w pobliżu narożnej kamienicy w której od zarania mieściła się cukiernia „Słodkie Niebo”. Łaknących nieba w gębie nie brakowało od jej porannego otwarcia po wieczorne wyciszenie. Także w niedzielę od rana przed cukiernią, ustawiała się tasiemcowa kolejka w której to, łasuchy na słodkości wyczekiwały niecierpliwie na swoje podejście do lady. W niedzielę z reguły byli to wierni wracający z mszy z pobliskiego kościoła, albo do niego idący. Bardzo często, podczas mszy kościół pachniał wypiekami ze Słodkiego Nieba. Nieraz, co bardziej łakome dziecko ukradkiem dostawało się swoim nie za czystym paluchem, pod wieko obwiązane sznurkiem kartonika i usmarowawszy paluch kremem oblizywało go skrycie, ale zachłannie. Tak, „Słodkie Niebo” słynęło na cały Gdańsk ze smaków i jakości swoich wyrobów.

Wystarczyło otworzyć drzwi cukierni i już od progu bił w nasze nozdrza słodki zapach, a oczy nie mogły nasycić się niesamowitymi kolorami – zapewne ukradzionymi tęczy. Artystyczne kształty tortów, ciast i ciasteczek przyprawiały nie jednego kupującego o łakome przełykanie ślinki. Szklana lada jak i półki wokoło, pełne były ciągle cieplutkich; serników, makowców, jabłeczników, strucli, ciast drożdżowych obsypanych obficie kruszonką z pod której wyglądały śliwkowe, lub wiśniowe powidła. Konkurowały z nimi babki o smaku cytrynowym, kakaowym, w polowie czekoladowej, czy oblane lukrem. – Babki pękały z dumy, że są aż tak pyszne! A Babki piaskowe – skąd wzięła się ta nazwa? – Czyżby wymyślono je podglądając bawiące się w piaskownicach dzieci? – No, a ciastka? Poukładane w rzędy jak kompanie wojska samego Napoleona; wuzetki, eklery, ptysie, napoleonki, bezy... Bezy, rozpływające się po podniebieniu – takie nic, a jak cudownie pyszne było to nic! A bajaderki w kształcie małej babki, „gęstsze, pożywniejsze od innych...” – jak mawiały matki maluchów. Wtajemniczeni – czyli my wszyscy, wiedzieliśmy, że są to resztki, pozostałości z formowania innych ciast – ulepione później w jedno oblane czekoladą, albo obsypane kakao. – Co tam resztki, nie resztki – sami wiecie, że przepyszne! Osobne napoleońskie pułki tworzyły jagodzianki, drożdżówki z kremem,

twarogiem, lub dżemem. A pączki – opuchłe z pychy, przykryte śniegowym lukrem, ukrywające w swym wnętrzu smakołyk, dla którego tak bardzo ucierpiały róże? A długie rurki z kremem, a ciepłe lody? – kurka wodna jaka pychota!

Niedzielni klienci cukierni byli inni niż ci kupujący w powszednie dni. W powszednie dni do cukierni zaglądały dzieci z przedmieścia. Niezadbane, poubierane w byle co, umorusane, często z siniakami widocznymi tam gdzie łaszki nie umiały zasłonić ich ciała. Wodząc po ladzie zachłannymi oczami, zazwyczaj ściskali w garstce jedną monetę, wybierając to jedno, najbardziej upragnione ciastko. Pamiętajmy, że w tamtych komuchowatych czasach PRL-u nie każde dziecko mogło sobie pozwolić na kupno ciastka.

Któregoś roku końca lat sześćdziesiątych, marcowe, jeszcze słabowite, niemrawe słońce, nawet nie próbowało podjąć walki z olbrzymimi chmurzyskami – czarnymi, groźnymi zapowiadającymi ulewny deszcz. Tylko wiatr, wiatr jeszcze się stawał, i zawzięcie walczył z gęstą zupą chmur. Rwał je, szarpał, wywiewał z miasta. Jednak, i wiatr wiedział, że przegra – bo ciemnym, łachmianiastym chmurzyskom, już szła z odsieczą czarna noc, czająca się nad kominami kamienic Gdańska.

Dochodziła godzina zamknięcia cukierni. W pomieszczeniu sklepowym krzątały się dwie młode dziewczyny w beżowych fartuszkach w czerwone maki i białych toczkach na głowie przytrzymujących niesforne kosmyki włosów. Za ladą, na krześle, przy wysuniętej szufladzie pełnej banknotów i monet, siedziała gruba kobieta z wielgachnym biustem, prawie zasłaniającym dostęp do szuflady pełnej pieniędzy. Kobieta kończyła obliczanie utargu układając banknoty w stożki zależne od ich nominalnej wartości. Śliniła przy tym od czasu do czasu swoje parówkowate krótkie palce, by rozdzielić niekiedy posklejane, nieposłuszne banknoty. Na okrągłej, lśniącej, tłustej twarzy od czasu do czasu, a najczęściej wtedy, gdy obok niej rosła kupka o największej wartości nominalów, ukazywał się uśmiezek zadowolenia. Wtedy, jej grube wargi chowały się gdzieś do środka, a na policzkach tworzyły się dołeczki. Cała jej twarz nabierała blasku szczęśliwości.

– Siódma – Zamykajcie, zamykajcie! – Siódma! – powtórzyła kobieta spoglądając jeszcze raz na zegarek.

Jedna z dziewczyn – ta wycierająca podłogę ścierą zamoczoną w wiadrze z czarną, gęstą wodą – podobną do wieczornych chmur na niebie, ociężała zaczęła podnosić się z kolan, gdy otworzyły się drzwi i do cukierni weszła dziewczynka. Miała dwanaście – może czternaście lat. Jej czarne jak woda w wiadrze i wieczorne chmury na niebie, proste, widać, że dawno nieumyte włosy okalały wychudzoną, podłużną twarzyczkę z zielonymi, dużymi oczami. Ładne miała te oczy. Jej wąziutkie małe usta strachliwie, jakby nie nadążając za głosem wyszeptaly:

- Mogę? Mogę jeszcze kupić?
- Co chciałaś dziecko

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI